Rocznik II. Kraków 15-go października 1908. Nr. 7.

NASZA SKARBNICA

wychodzi **raz** w miesiącu, około dnia 15-go.

Prenumerata „NASZEJ SKARBNICY“ wynosi:
na pół roku, czyli od lipca do końca bież. roku: 1 kor. 50 hal. — Do NIEMIEC półrocznie: 1 kor. 75 hal. — Do AMERYKI (na rok): 1 dolar.

ADRES do przesyłania prenumeraty:
Redakcya „NASZEJ SKARBNICY“ w Krakowie, ul. Powiśle 12.

Słowo od wydawnictwa.

(Nie będzie zniżenia prenumeraty).

Chcieliśmy choć nieco zniżyć prenumeratę *Naszej Skarbnicy* przynajmniej dla prenumeratorów *Now. Dzwonka*— bo sądziliśmy, że przez to powiększy się liczba prenumeratorów.

Tak się atoli nie stało — i mimo zniżenia, prenumeratorów nie przybyło — wskutek tego musimy wrócić do dawnej prenumeraty i zaznaczamy, że *Nasza Skarbnica* kosztować będzie i nadal dla wszystkich Czytelników na rok: **3** korony bez względu na to, czy prenumerują także drugie nasze pismo (to jest *Nowy Dzwonek*), czy nie.

O ważnej cnocie chrześcijańskiej i społecznej.

Przykazanie o miłości bliźniego jest obok przykazania o miłości Boga «najpierwszem i największem», wedle słów Chrystusa.

Córką zaś miłości bliźniego jest zgoda. Jest ona najwyższą cnota rodzinną, społeczną i obywatelską. Bez niej nie ostoją się rodziny, ani społeczeństwa.

«Wszelkie królestwo przeciw sobie rozdzielone, nie ostoi się i upadnie» — tak mówi Pismo święte, a święty

Paweł w liście do Galatów pisze: «Lecz jeżeli jeden drugiego kąsacie i pożeracie, patrzcież, abyście się sami społem nie pojedli».

Nietylko w Piśmie świętem, tym zbiorze wszelkiej mądrości, znajdujemy pochwały dla zgody — wszyscy pisarze, mędrcy i poeci wskazują na jej potrzebę i pożyteczność, głoszą jej zacność i chwałę.

To też i staropolskie — mądre przysłowie mówi: «Lepsza słomiana zgoda, niźli tłusty proces». — «Zgodą małe rzeczy mnożą się, a niezgodą wielkie niszczeją» — powiadał ongi słynny prawoznawca, Groicki.

«Przez niezgodę tracą ludzie swobodę» — wydrukował w roku 1619 Rysiński. «Posiał dyabeł nasienie, z którego urośli niezgodnicy i zazdrośnicy» — prawił niegdyś ksiądz Białobrzeski.

I niema zapewne pośród ludzi nikogo, ktoby nie uznawał jej potrzeby, ktoby nie wierzył, że jak mawiali ojcowie nasi, «gdzie zgoda, tam Pan Bóg».

A jednak jakże trudno jest o zgodę! Czyż jest gdzie na ziemi zakątek taki, gdzieby panowała zawsze święta zgoda? Zdaje się, że nie!

«Posiał dyabeł nasienie, z którego urośli niezgodnicy» — tak mówimy najczęściej, że nie umiemy utrzymać zgody. Niestety, tymi «niezgodnikami» mianujemy zawsze innych, a nigdy siebie, i to jest pewnie najczęstszą przyczyną niezgody. Nie umiemy poświęcić nic z siebie, czy to z mienia, czy z żądań, czy choćby nawet ze zdania swego. Umiemy mówić, chcąc przekonać innych o naszej słuszności, lecz nie umiemy milczeć, co zazwyczaj o wiele prędszy i lepszy odnosi skutek.

Każdy zatem, kto pragnie, aby święta zgoda zapanowała wśród ludzi, niech nauczy się opanowywać samego siebie i ustępować innym.

Z jednostek składa się gromada. Gdy każdy z nas przeniknie się duchem zgody, wtedy zejdzie na ten świat szczęście i spokój.

O życie dziecka.

Lato miało się już ku schyłkowi, mimo to słońce paliło jak w lipcu, a na lazurach widnokręgu ani jednej nie widać było chmurki, nawet w oddali.

Wybiła właśnie dwunasta, godzina odpoczynku dla pracowitej rzeszy robotników, którzy od świtu zajęci byli przy budowie willi podmiejskiej dla bogatego przemysłowca. Robota szła żwawo, oblewając potem ogorzałe czoła mularzy; radzi też byli, iż mogli ją przerwać na chwilę i zażyć nieco spoczynku. Jedni pokładali się na trawie pod drzewami, inni zasiedli na stosach cegły, ci się posilali, tamci palili fajkę lub gawędzili wesoło, jeden tylko stał milczący i chmurny, jakby mu ciężkie jakie dolegało zmartwienie.

— A cóż to wam Szymonie? — zawołał któryś z towarzyszów — czy myślicie się do Kamedułów zapisać, że nic nie gadacie?

— Dajcie mi pokój — ofuknął mularz — nie sporo mi do żartów, kiedy mam taki frasunek.

— To napijcie się wódki, a zaraz się wam ulży; na frasunek dobry trunek.

— Dobrze to tak mówić, Mikołaju, kiedy nic nie dolega — odparł Szymon z westchnieniem — wzięliście za żoną kilkaset koron, sami sporo zarabiacie i dobrze wam się powodzi; ale na mnie to się bieda zawzięła od niejakiegoś czasu. Naprzód ten niecnota Wincenty Kowalczak wyłudził odemnie piętnaście koron; przysięgał, że odda za miesiąc, a tymczasem kiedy termin nadszedł, niegodziwiec przepadł jak kamień we wodę. Potem zaniemogła więc ciężko kobieta i co było jeszcze zapasu w domu poszło na lekarstwo i doktora. Wyzdrowiała wreszcie, chwała Bogu, aż tu wczoraj wieczór zachorował mi chłopiec na gardło. Rano jeszcze był taki zdrów i raźny, raptem w południe dostał gorączki, a dziś rano to się aż dusił niebożątko.

— No, to weźmijcie doktora — radził Mikołaj.

— Tak samo mówi moja kobieta, ale doktór darmo nie przyjdzie, choć się karetami rozbija i ma własną kamienicę.

— Hej! bierzcie się do roboty! — zagrzmiał głos majstra.

Szymon wziął się do pracy, lecz mały jego Antoś nie schodził mu z myśli. Wyrzucał teraz sobie, że nie posłał po doktora; pieniędzy wprawdzie nie miał, ale przecież można było coś sprzedać, albo zastawić, albo wreszcie pożyczyć. Gdyby dziecko to miało umrzeć, toby biedna matka oczy sobie wypłakała. Teraz sprowadziłby on trzech doktorów, byleby Antoś znów jak dawniej z śmiechem wyciągał do ojca rączęta.

W tej chwili zajechał przed budującą się willę powóz właściciela, bogatego przemysłowca, który co kilka dni przyjeżdżał obejrzeć roboty. Tym razem przywiózł z sobą żonę i dwuletniego synka, żwawego rumianego chłopca, który mularzowi przypomniał jego Antosia. Tamten tak samo wczoraj śmiał się i szczebiotał, a dziś... Ból i gorycz ścisnęły serce Szymona. Tymczasem robota szła niesporo i niedbale, co ściągnęło na mularza ostre napomnienie majstra.

Słońce nakoniec zaszło i robotnicy mogli powrócić do domu. Najspieszniej było Szymonowi. Szedł ze spuszczoną głową i nie uważał nawet, że za nim jechał szybko wytworny powóz.

— Na bok! — krzyknął młody mężczyzna siedzący na koźle — czemu nie uważasz!

Mularz podniósł głowę i w oczach mignęła mu błyskawica gniewu. Koła powozu otarły się niemal o niego, tuman pyłu twarz zasypał. Pogonił wzrokiem za oddalającym się powozem; na koźle obok młodzieńca siedziała piękna i strojna pani.

— Próżniaki! — mruknął Szymon — nie potrzebują troskać się i kłopotać, ptasiego mleka im brakuje. Nawet dobrego słowa człowiekowi nie dadzą!

Głuchy gniew wrzał w piersi ojca, widok cudzego szczęścia przejmował go goryczą. Porównywał próżniacze ich życie ze swoją mozolną pracą, wesołość ich ze swoją troską.

Gnany niepokojem o dziecko szedł coraz prędzej i dla skrócenia drogi skręcił z szosy na ścieżkę wzdłuż wału

miejskiego. Z jednej strony ciągnęły się wysokie parkany ogrodów, z drugiej głęboki rów zarosły krzakami.

Nagle usłyszał tętent konia i naprzeciw siebie ujrzał jeźdźca. Był to jeszcze młody mężczyzna, ale oczy patrzyły w dal rozumne i zadumane, lica miał pobladłe. Mularz tego nie widział, zauważył tylko wytworny ubiór jeźdźca, pięknego rumaka, i znów w jego sercu gniew zawrzał.

— Próżniak — mruknął przez zaciśnięte zęby. — Za tysiączną część tego, co ta szkapa kosztuje, miałbym na doktora i lekarstwa, uratowałbym dziecko od śmierci.

Tymczasem jeździec, wstrzymując nieco konia, zawołał:

— Z drogi!

Ale Szymon ani myślał ustępować.

— Mam takie prawo iść tedy, jak i pan! — odparł zuchwale.

— Z drogi! — powtórzył jeździec, nacierając na niego koniem.

Oburzenie ogarnęło mularza.

— Ja cię nauczę najeżdżać na ludzi! — krzyknął ochrypłym głosem — rozwalę łeb twojej szkapie!

Podniósł kij sękaty i zamierzył się na konia. Jeździec gwałtownie ściągnął w tył cugle i uniknął ciosu, ale z jednego niebezpieczeństwa wpadł w drugie, bo koń zestrachany rzucił się w bok i zwalił wraz z swym panem w głęboki rów przydrożny.

Szymon odrazu ochłonął i miejsce gniewu zajęło przerażenie. Może ten człowiek się zabił? Na dnie rowu mogły być kamienie, koń mógł go przygnieść swoim ciężarem.... Na myśl, że w uniesieniu stał się przyczyną śmierci człowieka, który mu nic nie zawinił, przejął go strach śmiertelny. Zdawało mu się, że widzi już żandarmów, którzy po niego przychodzą, słyszy szlochanie Marty, zgrzyt drzwi więziennych, brzęk łańcuchów. Zdjęty trwogą bez granic, zaczął uciekać.

Wpadł do domu zdyszany i drżący. Przy łóżeczku dziecka siedział jakiś młody pan w okularach, obok niego stała Marta, blada jak chusta. Na widok męża powstała skwapliwie i kładąc palec na ustach, wyszła z nim do sieni.

— I cóż? — zapytał z niepokojem.

— Lepiej, ale było bardzo źle — szepnęła kobieta — dyfterytys.

— Czy to doktor?

— Nie, pomocnik doktora. Szymonie! — zawołała łkając — jakiż ja dzień przeżyłam! Do śmierci go nie zapomnę.... Dobrze, że ciebie tu nie było.

— Opowiedz mi wszystko, prędzej! — nalegał.

— Zaraz — odparła, ocierając oczy — siadaj na ławie, bo wyglądasz także jak z krzyża zdjęty. Jesteś pewno głodny, może co zjesz?

Szymon przecząco potrząsnął głową; czuł, że nie mógłby nic przełknąć.

— Około południa chłopcu było coraz gorzej — opowiadała Marta — rozpacz mię ogarnęła i postanowiłam sprowadzić doktora. Sąsiadka mi powiedziała, że stąd niedaleko mieszka jeden taki, co jest profesorem i choć bardzo uczony, ma być dobry i litościwy dla biedaków. Poprosiłam jej, żeby chwilę posiedziała przy dziecku, a sama co tchu skoczyłam do tego pana. Służący mi powiedział, że doktor jest proszony na śniadanie do znajomych, ale jeżeli choroba ważna, to pewnie przyjedzie. Pobiegłam zaraz — było niedaleko. Wywołano go do sieni, ale jak go zobaczyłam, zupełnie mię odstąpiła odwaga. Powiadam ci, młody jeszcze człowiek, ale taki poważny i wspaniały niby jaki książę. Opowiedziałam mu wszystko. «Bądźcie dobrej myśli, kobieto — rzekł łaskawie — wracajcie do domu, ja tam zaraz przyjadę».

Mnie jakby kamień z serca spadł. Pobiegłam do domu, a w pół godziny później przyjechał doktor ze swoim pomocnikiem. Obejrzał dziecko i kazał sobie przynieść torbę z instrumentami. Mrowie mnie przeszło, kiedy zobaczyłam te cęgi, haki, noże i nożyczki. Antoś już zaledwo dyszał!

Marta znowu zalała się łzami, Szymon trząsł się jak w febrze.

— Mów dalej — wyjąkał.

— Szkoda, żeście mnie wczoraj nie zawezwali — wspomniał doktor — ale jeszcze nie jest zapóźno. Chłopiec silny, jak rzadko, wytrzyma operacyę. I zaraz ujął za nóż błyszczący i tak ostry jak brzytew. Co pan chce zrobić? — krzyknęłam. — Spojrzał na mnie poważnie i rzekł:

«Bądźże rozsądną kobieto. Czy nie widzisz, że dziecko już się dusi? Zrobię mu na szyi niewielkie cięcie, ot takie, i wprowadzę w nie rurkę, aby mogło oddychać. Jestem pewny, że mi się uda». Zasłoniłam sobie oczy rękoma, zdawało mi się, że widzę już krew lejącą się z rany.

— Trzeba, żeby kto trzymał głowę dziecka — rzekł doktor.

— Ja potrzymam — odezwałam się.

— To dobrze — odrzekł. — Pamiętaj, żebyś nie krzyknęła.

Co dalej się działo, tego ci nie umiem opowiedzieć. Czułam, że serce we mnie zamiera, ale nie puściłam główki dziecka i nie zadrżałam, kiedy doktor mu przyłożył nóż do szyi. Nie wiem, jak długo to trwało, może godzinę, może pięć minut. Stałam nieruchoma, jak gdyby mi nogi wrosły w ziemię, a z odrętwienia obudził mnie dopiero głos doktora: «Dzielna z was kobieta — rzekł z zadowoleniem — ot i wszystko skończone. Czy widzicie, jak teraz malec lżej oddycha? Mam nadzieję, że wszystko dobrze pójdzie.

— Chwała Bogu, chwała Bogu! — szepnął Szymon, składając ręce.

— Rozpłakałam się ze szczęścia i chciałam mu podziękować, ale nie pozwolił. Jestem rad, że mi się udało uratować mego synka — rzekł z uśmiechem — jutro wieczór przyjdę jeszcze go zobaczyć, a tymczasem na noc zostawię tu mego pomocnika. Gdyby coś nadzwyczajnego zaszło, to możecie wcześniej po mnie przysłać». Nie chciał nawet słuchać o pieniądzach i pojechał, zostawiwszy wskazówki, jak się z dzieckiem obchodzić. Ach, Szymonie, to anioł nie człowiek.

— Niech mu Bóg da wszystko jak najlepsze! — z głębi serca zawołał mularz i na palcach wsunął się do izby, żeby popatrzeć na syna. Chłopiec spał spokojnie, oddychając równo i głęboko.

— Wszystko będzie dobrze — szepnął pomocnik doktora — pan profesor nie pierwszą już taką wykonał operacyę.

Nazajutrz Szymon wcześniej niż zwykle poszedł do roboty; chodziło mu o to, żeby zaraz po zachodzie słońca

wrócić do domu. Doktor obiecał przyjść o tej porze, on zaś pragnął podziękować zbawcy swego dziecka. Przechodząc obok rowu, odwrócił głowę. Wspomnienie wczorajszego szalonego czynu dręczyło go jak zmora. Ażeby zagłuszyć wyrzuty sumienia, z podwójną gorliwością do pracy się zabrał i zasłużył na pochwałę majstra.

Zaledwie słońce skryło się za promienny rąbek obłoków, Szymon biegł co żywo do domu. Nie przyszło mu dziś na myśl zazdrościć szczęścia nikomu; z głębi serca dziękował Bogu za ocalenie Antosia i mówił sobie, że taka dzielna i dobra kobieta, jak Marta, taki tęgi i ładny chłopiec, jak Antoś, to cenniejsze były skarby, niż pieniędze.

Dochodząc do domu, spostrzegł powóz doktora i przyspieszył kroku. W sieni już usłyszał głos jego, przez wpół otwarte drzwi, i stanął jak wryty.

— Wszystko idzie jak najlepiej — mówił doktor, głaszcząc twarzyczkę dziecka — za kilka dni będzie zdrów zupełnie. Widzicie, jak się śmieje do matki. Zuch chłopiec!...

Poprawił poduszki i odwrócił się.

Szymon o mało nie zapadł się w ziemię na widok tego poważnego oblicza: poznał jeźdźca. Na czole miał krwawą szramę, ślad gwałtownego upadku do rowu.

Doktor poznał Szymona także i jego oblicze przybrało wyraz gniewnego zdumienia; poznał zuchwalca, który rzucił się na niego, zanim jednak zdołał wymówić słowo, mularz klęczał już u nóg jego.

— Uderz mnie pan! — wołał przerywanym głosem, podając mu swój kij sękaty — zbij mnie jak psa! Jestem wart tego.... Śmiałem podnieść rękę na swego dobroczyńcę, na zbawcę mego dziecka! O jakiż ze mnie łotr i niegodziwiec.

Głową bił o podłogę i szlochał głośno jak dziecko, obejmując kolana doktora. Marta patrzyła na to zdumiona, nic nie rozumiejąc.

Na widok żalu i upokorzenia mularza gniew zniknął z oblicza doktora, a słodkie uczucie spełnionego obowiązku ogarnęło jego duszę. Teraz kiedy wiedział, że człowiekowi, który omal nie pozbawił go życia, uratował najdroż-

szą istotę, jedynego syna, łatwiej mu przebaczyć czyn występny.

— Wstań i uspokój się — rzekł łagodnie — byłeś wczoraj nieszczęśliwy, rozdrażniony, a gniew złym bywa doradcą. Gdybyś był wiedział, że jedyną moją rozrywką, jedynym po ciężkiej pracy odpoczynkiem jest konna jazda, z pewnością ustąpiłbyś mi z drogi.

Szymon podniósł się i z uwielbieniem spoglądał na lekarza. Zrozumiał teraz, że nie każdy, co powozem jeździ, próżniakiem jest i samolubem; zrozumiał, że są cięższe zawody, niż praca fizyczna.

Nie skarż się nigdy!

Nie skarż się nigdy, duszo moja droga,
Że na tym świecie nie znajdujesz Boga!
O, nie narzekaj, bo On blizko ciebie,
Bo On nietylko jest tam w jasnem niebie,
Tam, gdzie nie sięga oko: nad gwiazdami,
Gdzie człowiek wzbija się tylko myślami!
Nie! On Bóg przemożny i Pan wszechrzeczy,
Przyszedł na ziemię, jako Syn człowieczy,
I przelał wszystką Krew za nasze złości!
I został z nami z wielkiej k'nam miłości
I ty się zbliżać możesz bez obawy
Do Niego! bo On dobry i łaskawy,
Chcąc cię ośmielić, abyś się doń zbliżył,
Tak bardzo boski Swój majestat zniżył,
Że ukrył Bóstwo pod postacią Chleba,
Pod którą żyje Pan wszechmocny nieba!
I tak w tej Hostyi żyjąc utajony
Rozlewa wszędzie swych łask miliony!
I tobie daje On dar niesłychany,
Co krzepi duszę i jej goi rany:
Bóg w Swej dobroci chce się złączyć z tobą
I krzyże twoje chce nagrodzić — Sobą!
O nie narzekaj, żeś biedny, ubogi,
Bo skoro zechcesz, skarb otrzymasz drogi!

Szczęście twe większe, niż Aniołów w niebie,
Bo Pan Bóg daje ci — Samego Siebie.

(Przełożył z niemieckiego
ks. Józef Janiszewski z Seretu).

Z podróży po Norwegii.

(Dokończenie).

Tak się zwiększały Norwegom plony ziemi, a to skutkiem pozbycia się szachownicy i skutkiem coraz umiejętniejszego gospodarowania oraz umiejętniejszego wyzyskiwania sił przyrody w ziemi.

Ci, którzy doskonale znają rolnictwo włościańskie w Norwegii, powiadają, że do takiego wzrostu plonów przyczyniło się u nich przedewszystkiem rozsądne traktowanie nawozu stajennego, obornika i gnojówki; z chwilą, powiadają — jak gospodarze wszelki nawóz i odpadki zaczęli gromadzić w porządnie utrzymywanych murowanych dołach, odtąd i urodzajność ziemi poprawiła się, a umiejętność użycia nawozów sztucznych oczywiście pomnożenie się tych plonów wzmogła bardzo.

W tej Norwegii, kraju o klimacie surowym i zimnym, dzięki umiejętnemu traktowaniu rolnictwa i roli zaczęto uprawiać takie nawet rośliny, jakich ojcowie lub dziadkowie dzisiejszych pokoleń nie znali. Dla tamtych owies był prawie wszystkiem, a teraz i pszenica niepoślednie zajmuje tu miejsce, i rzepa, i burak pastewny znajdzie się dla krowy. I o tem ojcowie dzisiejszych Norwegów nie zamarzyli nawet.

Ale bo też ojcowie ci nie posiadali jeszcze dzisiejszej nauki i synów swoich na dobrych rolników nie kształcili. A dziś? Norwegowie zrozumieli ważność nauki dla każdego, a zwłaszcza dla rolnika, i oto dla synów swoich ten kraj malutki, liczący 150 tysięcy gospodarstw, ma 15 szkół rolniczych dla synów włościan i 11 szkół gospodarstwa domowego dla kobiet.

Różnica między naszym krajem a Norwegią pod względem szkół dla gospodarzy i gospodyń wiejskich, jest zna-

czna; i dziwić się tu, że Norwegowie żyją w dostatku, gdy my biedę klepiemy. Tam każda okolica ma swoją szkołę rolniczą dla synów włościańskich, które kształcą chłopaków najkrócej przez 9 miesięcy, a najdłużej dwa lata. A ponieważ gospodarze każdej okolicy, jak u nas powiat, zakładają i utrzymują taką szkołę sami, więc też synowie ich uczą się tu bezpłatnie; przybywający zaś z innych okręgów płacą za naukę i utrzymanie po 25 do 50 koron miesięcznie.

Oprócz szkół, dających ogólne wykształcenie gospodarcze, Norwegia ma dwie szkoły ogrodnicze oraz dziesięć szkół mleczarskich (siedem dla kobiet i trzy dla mężczyzn). W szkołach ogrodniczych nauka trwa dziesięć miesięcy, w szkołach mleczarskich — półtora roku. Wszystkie te szkoły są wspierane z funduszów krajowych, udzielają więc nauki bezpłatnie.

Takie to są urządzenia, w których młodzież włościańska Norwegii nabywa wiedzy i umiejętności rolniczej. Ze szkół tych wychodzą ludzie wdrożeni do pracy umiejętnej i starannej, z umysłem rozwiniętym i wzbogaconym.

Piękną właściwością szkół norweskich jest serdeczny, iście braterski stosunek nauczycieli do uczniów. Nauczyciele chętnie podzielają z uczniami pracę i zabawę, przebywają ciągle w towarzystwie swoich wychowańców, dzieląc się z nimi swoją wiedzą i dając osobiście przykład pracy. Skutkiem tego uczniowie mają stale przed oczami wzory do naśladowania, a ciągłe obcowanie wytwarza między nauczycielami a uczniami stosunek przyjazny.

Wespół ze szkołami pracują nad rozwojem rolnictwa norweskiego liczne stowarzyszenia. Myśl, że praca zrzeszona jest najowocniejszą, że tylko wysiłkiem zbiorowym ludzie mogą dokonać czynów wielkich i zmian rozległych, myśl ta ugruntowała się w narodzie norweskim stosunkowo dawno: wiemy, że już w roku 1809 powstało «Towarzystwo dla rozwoju Norwegii», które w dwa lata po założeniu ma 28 oddziałów w różnych częściach kraju. Mówiliśmy już, jak wielkie zasługi położyło Towarzystwo to na polu odrodzenia Norwegii.

Podźwignąwszy kraj swój z ciemnoty i ubóstwa, dokonawszy ogromnych przekształceń, Towarzystwo to i dziś

nie ustaje w pracy twórczej i dziś stanowi ważny przedmiot rozwoju Norwegii. — Opłaciwszy 7 koron 64 halerzy składki rocznej, do Towarzystwa należeć może każdy Norweg, stając się tem samem uczestnikiem wielkiej sprawy — tworzenia lepszej przyszłości swojej ojczyzny.

Dla rozwoju rolnictwa Towarzystwo założyło w każdej dzienicy kraju Towarzystwo rolnicze, do którego należą Kółka rolnicze danej dzielnicy. Członkami Kółek są gospodarze kilku sąsiadujących ze sobą parafii. Kółko obiera sobie przewodniczącego, który zwołuje członków na wspólne narady i pogawędki o sprawach gospodarczych. Jeżeli Kółko nie może rozstrzygnąć jakiejś sprawy z powodu braku wiedzy lub środków, wtedy przewodniczący prosi o pomoc Towarzystwo rolnicze swojego okręgu, które daje rady i wskazówki, w razie potrzeby przysyła na miejsce znawcę, słowem udziela pomocy.

Wszystkie sprawy rolnicze danej dzielnicy omawiane i rozstrzygane są przez radę miejscowego Towarzystwa rolniczego, jeżeli zaś potrzeba pomocy lub spółdziałania rządu, wtedy Towarzystwo rolnicze udaje się do «Towarzystwa dla rozwoju Norwegii», które zwraca się do rządu z żądaniem poparcia sprawy.

Oprócz Kółek rolniczych rozpowszechniły się w Norwegii Związki hodowlane. Są to spółki, zakładane przez sąsiadów zagrodników, pragnących mieć wspólnego stadnika dobrej rasy. Skoro tylko utworzy się taki związek, rząd daje zapomogę na kupno stadnika, a Towarzystwo rolnicze radzi, gdzie można kupić odpowiednią sztukę. W roku n. p. 1897 założono w Norwegii 635 takich związków, które otrzymały od rządu przeszło 100 tysięcy koron zapomóg. Utrzymywani przez rząd uczeni hodowcy odwiedzają każdy związek i dają wskazówki i rady, do których związki stosować się muszą.

Oprócz «Towarzystwa dla rozwoju Norwegii» kraj ten posiada mnóstwo innych jeszcze stowarzyszeń i związków. zajmujących się sprawami rolniczemi. Wymienimy tu «Towarzystwo rolników norweskich», «Norweskie Towarzystwo mleczarskie», dalej «Towarzystwo miłośników ogrodnictwa», Towarzystwo leśne norweskie», «Towarzystwo dla rozwoju hodowli drobiu» i inne. Jest wreszcie nie-

mało spółek handlowo-rolniczych i towarzystw dla wzajemnych ubezpieczeń budynków, zasiewów, inwentarza itp.

Z powyższego wyliczenia niektórych towarzystw norweskich widać, że działalnością swoją obejmują one całe gospodarstwo wiejskie. Składki członkowskie są nizkie, bo przecież do Towarzystw tych należą wyłącznie włościanie i to małorolni, którzy w zrzeszeniach tych szukają dla siebie rady i pomocy w swojej gospodarce.

Wszystkie te stowarzyszenia powstały przed 22-u laty i więcej, miały czas dokonać w kraju wielu prac i zmian pożytecznych; im też, ich pracy porządnej i celowej zawdzięcza w znacznym stopniu Norwegia dzisiejszy swój wygląd i dobrobyt.

Nauki i czyny Jezusa Chrystusa.

(Ciąg dalszy).

Cudowne nasycenie pięciu tysięcy ludzi.

Zgromadzenie się ludu. Po śmierci Jana Chrzciciela wszyscy jego uczniowie przeszli do Jezusa Chrystusa, przez co jeszcze bardziej powiększyli wielką liczbę ludzi, którzy wszędzie za Nim chodzili; tak, że nie miał ani jednej chwili spokoju. Pragnąc choć trochę wypocząć po tak ciężkich trudach, Chrystus wsiadł do łodzi z Apostołami i skrycie przed ludem chciał przepłynąć na drugą stronę jeziora Genezaret. Skoro Jednak lud dowiedział się o tem, także udał się w tę stronę brzegiem jeziora. Widząc to, Chrystus zlitował się nad nimi, kazał uczniom swoim przypłynąć do brzegu, i wyszedłszy z łodzi, znowu zaczął nauczać.

Uczniowie proszą, aby rozpuścić rzesze. Zbliżał się już wieczór, a Jezus Chrystus ciągle jeszcze tłómaczył słuchaczom swoim przykazania Boże, zalecając im, aby byli łagodni, miłosierni dla ubogich, nie krzywdzili bezbronnych, nie oszukiwali i starali się za złe dobrem płacić. Uczniowie zbliżyli się do Jezusa i prosili Go, aby pozwolił ludziom odejść do poblizkich miast dla zakupienia żywności, ponieważ wokoło była puszcza i nawet chleba

prostego dostać nie było można Chrystus zaś powiedział uczniom swoim, aby oni dali im chleba. Zdziwieni uczniowie odrzekli, że to jest niemożebnem, ponieważ ludzi jest bardzo dużo, a oni sami nie mają prawie żadnej żywności. Jezus zapytał, czy ktokolwiek z nich nie ma chleba: na co jeden z młodzianów podszedł do Zbawiciela i przyniósł Mu pięć jęczmiennych chlebów i dwie ryby, które wziął ze sobą z domu.

Chrystus rozmnaża chleb. Chzystus kazał ludziom usadowić się grupami po 100 ludzi i okazało się, że samych mężczyzn było przeszło pięć tysięcy. Wtedy Pan Jezus pobłogosławił podany Mu chleb i ryby i zaczął podawać uczniom, którzy roznosili je między ludem. Żywność ta wystarczyła dla wszystkich, tak że nietylko nasycili się, ale jeszcze zebrali resztę odłamków do 12-tu koszów, aby napróżno nie przepadały.

Widząc taki cud, wszyscy uwierzyli, iż rzeczywiście przed nimi znajduje się Ten, którego Bóg obiecał zesłać dla zbawienia ludzi i chcieli Jezusa Chrystusa ogłosić królem; ale On oddalił się na górę, gdzie pozostał dłuższy czas, modląc się do swego Ojca niebieskiego.

Jezus chodzi po morzu i daje obietnicę ustanowienia Najświętszego Sakramentu.

Jezus chodzi po morzu. Kiedy Jezus Chrystus modlił się na górze, uczniowie Jego wsiedli do łodzi i popłynęli na jezioro. Było już ciemno i z wielką trudnością posuwali się naprzód, gdyż naprzeciw nich wiał silny wiatr, który im ogromnie utrudniał wiosłowanie. Nad ranem, we mgle, która się od wody podnosiła, spostrzegli Jezusa Chrystusa, idącego ku nim po wodzie. Z początku myśleli, że to przywidzenie, i zlękli się bardzo, ale Chrystus zaraz przemówił do nich. Piotr, chcąc ostatecznie przekonać się, że to jest Zbawiciel, poprosił Go o pozwolenie wyjścia na Jego spotkanie. Jezus pozwolił, lecz Piotr uląkłszy się wielkich fali, zaczał powątpiewać o mocy Boskiej, wskutek czego zaczął tonąć. Chrystus uczynił mu wymówkę za brak ufności w Bogu, wziął go za rękę i zaraz weszli do łodzi. Burza ucichła natychmiast, pomyślnie stanęli u brzegu i poszli do Kafarnaum.

Obietnica Najświętszego Sakramentu. Ludzie, którzy po rozmnożeniu chleba i nasyceniu się zostali na brzegu jeziora, zobaczywszy, że Jezusa niema na górze, zaczęli Go szukać i znaleźli w Kafarnaum, nauczającego w synagodze. Ujrzawszy ich, Zbawiciel powiedział: «Szukacie Mnie nie iżeście widzieli cuda, ale iżeście chleb jedli i najedliście się. Nie troszczcie się o pokarm, który ginie, ale który trwa ku żywotowi wiecznemu, który wam da Syn człowieczy». Wtedy lud zaczął prosić o taki chleb, któryby pożywając nigdy nie umierali. Chrystus odpowiedział na ich prośbę: «Jam jest chleb żywy, który z nieba zstąpił. Jeżeliby kto pożywał tego chleba, żyć będzie na wieki. A chleb, który Ja dam, jest Ciało moje, które wydam na żywot świata».

Nie wszyscy zrozumieli słowa Chrystusa. Słysząc te słowa, obecni zaczęli się spierać między sobą i zapytali Chrystusa, w jaki sposób może On im dać swe Ciało do jedzenia? Chrystus zaś jeszcze uroczyściej powtórzył im: «Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, jeżelibyście nie jedli Ciała Syna człowieczego i nie pili Krwi Jego, nie będziecie mieć żywota w sobie. Kto pożywa Ciała Mego i pije Moją Krew, ma żywot wieczny, a ja go wskrzeszę w ostatni dzień». Zbawiciel chciał temi słowy dowieść tajemnicy Najświętszego Sakramentu, gdzie Ciało Jego i Krew jest pod postacią chleba i wina. Lecz lud w żaden sposób nie mógł zrozumieć tego, a nawet niektórzy z uczniów Jezusa Chrystusa z niedowierzaniem przyjęli te słowa i opuścili Go.

Apostołowie zostają przy Chrystusie. Z wielkim smutkiem patrzył Jezus na tych ludzi, którzy nie zaufawszy słowom Jego, odeszli od Niego, lecz pomimo to nie zmienił On słów swoich; bo choć były niezrozumiałe dla niektórych, jednak zawierały prawdę, w którą trzeba wierzyć, aby otrzymać zbawienie. Nawet ukochanym swym uczniom Chrystus dał do wyboru: albo wierzyć w to, co powiedział, albo rozstać się z Nim i dodał: «Czyli i wy odejść chcecie?» Piotr w imieniu wszystkich Apostołów powiedział: «Panie, do kogóż pójdziemy? Słowa żywota

wiecznego masz. A my wierzymy i poznaliśmy, żeś Ty jest Chrystus, Syn Boży».

(Ciąg dalszy nastąpi).

Co to jest powietrze i z czego się składa?

(Pogadanka naukowa).

Powietrze jest to gaz bardzo lekki, nadzwyczaj przeźroczysty, nie mający ani zapachu, ani smaku, barwy blado-niebieskiej. Ponieważ go nie widzimy, zdaje nam się wprost, że wcale nie istnieje, a jednak jest ono wszędzie, napełnia świat cały, wchodzi w skład roślin, do ciała ludzi i zwierząt i podtrzymuje życie wszelkiego stworzenia. Bez powietrza wszystkoby na świecie zginęło, ziemia stałaby się martwą pustynią. Powietrze więc jest żywiołem dobroczynnym, bez którego ani chwili obejść byśmy się nie zdołali, bez którego rośliny się rozwijać, ani ogień palićby się nie mógł.

Ponieważ powietrze jest lekkie, łatwo się w niem poruszamy, a nawet gdy jest spokojne — nie czujemy go wcale. Ponieważ zaś jest przeźroczyste, możemy przezeń wszystko dokoła siebie i nad sobą oglądać, ono nam nie zasłania widoku, jak to n. p. czyni mgła, albo dym. Że jest barwy blado-niebieskiej, poznajemy to po barwie naszego nieba. Właściwie to my nie niebo nad sobą widzimy, ale tylko powietrze. Zapewne niejednego to zadziwi, bo przecież w koło siebie widzimy, że powietrze jest bezkolorowe, dlaczegóżby w górze miało być inne? Otóż to się ma rzecz tak, jak z przeźroczystą gazą. Gdy ją rozłożymy pojedyńczo, to koloru nie zobaczymy, bo jest zbyt cienka, ale gdy ją złożymy kilka razy, lub nawet kilkanaście, to się przekonamy, że kolor zrobi się o tyle wydatniejszy, o ile grubszy będzie zwój złożonej gazy. Tak samo i z powietrzem. Koło nas jest bardzo mała warstwa powietrza, więc koloru jego dostrzedz nie możemy; nad nami zaś warstwa powietrza jest niezmiernie gruba, bo nie dziesiątki, ale, jak przypuszczają uczeni, i setki mil w górę wynosi; nic też dziwnego, że i barwa staje się wyraźniejszą.

Pomimo tego, że powietrze jest nadzwyczaj lekkie, ma ono jednak pewien ciężar, ponieważ zaś jest go tak dużo nad ziemią, naciska też ono silnie wszystko z góry na dół i jaby delikatnem okryciem ziemię całą otula.

Powietrze składa się z dwóch odmiennych gazów: z tlenu i azotu. Prócz tego w powietrzu znajdują się jeszcze i inne gazy, z przedewszystkiem para wodna i kwas węglowy, a także pył, kurz mineralny, wyziewy różnych roślin i innych ciał, posiadające odór lub zapach; również drobne nasionka roślin, lub maleńkie, gołem okiem niedostrzeżone żyjątka.

Ze wszystkich tych części składowych powietrza najważniejszym i najgłówniejszym jest tlen. W powietrzu jest tlenu pięć razy mniej, niż azotu, ale on jedynie ma dla nas znaczenie, bo jest niezbędny przy oddychaniu ludzi i zwierząt, a także przy paleniu się wszelkiego ognia i światła. Azot służy jedynie do rozrzedzenia tlenu, ale w nim ani się ogień palić, ani żadne stworzenie oddychać nie może; nawet dla roślin, choć one żywią się kwasem węglowym, tlen jest koniecznie potrzebny.

Azot jednak jest użyteczny tym sposobem, że rozrzedzając tlen, czyni go nie tak ostrym, bo przekonano się, że w samym tlenie wszystko się łatwiej spala i prędzej niszczeje. Gdyby powietrze składało się z samego tlenu, toby ludzie i zwierzęta bardzo krótko żyli na świecie i wszystkoby prędko niszczało. Wiemy o tem z doświadczenia, bo często musimy chronić od wpływu powietrza różne rzeczy, aby się nie psuły, nie rozkruszały. Azot więc w powietrzu jest tak, jak woda, co dolana do niektórych zbyt ostrych napojów, czyni je łagodniejszymi i zdatnymi do użytku. Tylko w zmięszanem powietrzu człowiek może oddychać i żyć swobodnie, takie tylko dla niego jest zdrowem.

Ponieważ tlen wszystko niszczy i rozkrusza, więc i sam się przetrawia i ginie. To też w miejscach długo zamkniętych, gdzie świeże powietrze nie ma przystępu, n. p. w lochach, w piwnicach zasypanych i t. d., powietrze jest zużyte, zepsute — i oddychać niem niepodobna. W takie miejsca wszedłszy nieostrożnie, można się na niechybną śmierć narazić. Po otworzeniu trzeba zaczekać, aż tam świeżego powietrza napłynie, i próbować, spuszczając

naprzód latarnię zapaloną, albo łuczywo. Dopiero wtedy wejść można, gdy ogień nie gaśnie.

Ponieważ ludzie przy oddychaniu zużywają z powietrza tlen, dlatego też to powietrze w domach, zwłaszcza w ciasnych izbach, prędko się psuje i zanieczyszcza kwasem węglowym i różnymi wyziewami. Trzeba więc często mieszkanie przewietrzać, otwierać okna i drzwi, nawet w zimowej porze, bo to jest niezbędne dla zdrowia. Nie trzeba się lękać, że przez otwieranie wypuszczamy ciepło z mieszkania; wcale nie. Tlen to właściwie się rozgrzewa, to też im powietrze jest czystsze, tem je łatwiej ogrzać, a w zaciśniętych, nieprzewietrzanych izbach jest zwykle duszno, ale nie ciepło.

Para wodna dostaje się do powietrza, ulatniając się z wody w morzach, rzekach i t. d. Ona odwilża zbytnią suchość powietrza i od jej ilości w powietrzu zależy mniejsza jego lub większa wilgotność.

Kwas węglowy powstaje przy paleniu się drzewa węgli i t. d., a także wydzielają go przy oddychaniu ludzie i zwierzęta. Ten kwas węglowy, w którym byśmy się zaraz udusili, wchłaniają w siebie drzewa i wszelkie rośliny, a natomiast z siebie wydzielają tlen, tak dla nas niezbędny. Dlatego to w ogrodach i w lasach powietrze jest takie czyste i świeże, bo co człowiek zepsuje oddychaniem, to rośliny zaraz naprawiają.

Tak to wszystko na świecie Opatrzność cudownie i mądrze urządziła. Gdyby powietrze z jednego składało się gazu, to z upływem czasu musiałoby go kiedyś zabraknąć, musiałby się zużyć i wyczerpać. A tak rośliny oddają człowiekowi przerobiony przez się tlen, a człowiek znów i zwierzęta oddychaniem wytwarzając kwas węglowy — karmią tem rośliny. I tak bezustannie w naturze wszystko się wzajem odżywia, odświeża i utrzymuje.

W. G.

ZŁOTE MYŚLI I ZDANIA.

Kto najpierw działa — potem bada,
Ten w nieszczęście nieraz wpada.

Gdzie rej wodzić chce niewiasta,
Tam niepokój zwykle wzrasta.

Długo badaj i się radź,
Gdy Twa wola ma się stać!

Za szczęście w niebie,
Daj Boże — Siebie!

(Przełożył z niemieckiego,
ks. Józef Janiszewski).

Nie należy gardzić chlebem.

Podczas wyprawy wojsk francuskich do Rosyi, w roku 1812, stanęła kwaterą jedna kompania 42 pułku liniowego piechoty w małej wiosce polskiej. Karczmarz, jak zwykle w Polsce — żyd, musiał przyjąć sierżanta i 12-tu szeregowych do swojej gospody, poprzednimi przechodami wojska całkiem prawie wypróżnionej. Lękając się bicia, którego Francuzi nie rzadko używali w miejsce zapłaty gospodarzowi, nieborak przyniósł wszystko, czego było trzeba, byleby zaspokoić nieproszonych gości.

Brakowało jedynie chleba białego. Szeregowi poprzestali na czarnym chlebie, który im podał; tylko sierżant, płochy, niedoświadczony młokos, nie chciał go przyjąć. «Białego chleba, żydzie! — albo cię poślę na łono Abrahamowe», krzyknął piorunującym głosem, a czarny chleb, położony przed nim, klnąc, cisnął w kąt.

Drżąc, wyśliznął się przestraszony gospodarz za drzwi szukać białego chleba dla dogodzenia Francuzowi, i udało mu się wreszcie, po usilnych prośbach, dostać taki chleb u sąsiada. Podał go sierżantowi, i uspokoił się gniew srogiego wojownika.

Żyd podniósł z kąta rzucony chleb i położył w szafę. Gwałtowny sierżant, który to spostrzegł, rzekł z szyderstwem do gospodarza drugiego dnia przy odejściu: «Nim tu powrócimy, chleb, coś wczoraj schował do szafy, bardzo zczerstwieje». Żyd milczał. — Koniec wyprawy na Rosyę jest powszechnie wiadomy. Pobite, rozprószone, od zimna i głodu ginące, a od kozaków tłumnie ścigane resztki wojska francuzkiego uciekały nazad przez Niemen do Polski.

Jednego z najmroźniejszych dni zimowych przyszedł do wyżej wspomnianej żydowskiej karczmy okryty łachmanami i od zimna prawie skostniały człowiek, podobniejszy do widma Gospodarz przypatrzywszy się mu pilnie, z trudnością poznał w tym nędznym kościotrupie owego junackiego sierżanta, który przed kilku tygodniami, z tak bezczelną zuchwałością odrzucił chleb czarny.

Drżąc od zimna i blizki śmierci z głodu, nieszczęśliwy prosił o przytułek i pomoc. Żyd uprzejmie wprowadził go do ciepłej izby, gdzie świeża słoma nastręczała strudzonemu pożądany wypoczynek. O jak pokrzepiło nieboraka ciepło i miękkie posłanie! Tylko czczy żołądek nie dawał spokojności.

Gospodarz otworzył szafę, i wyjął ciśnięty w kąt kawałek chleba. Podając go sierżantowi, nie mógł się wstrzymać od przypomnienia dawniejszej jego złości, jako zasłużonej kary i rzekł: «Przyjacielu! czy znasz ten chleb? Jakeś sam przepowiedział, bardzo szczerstwiał do twojego powrotu; ale głód, jak myślę, ma dobre zęby». — «Tak, ma», zawołał nieco zawstydzony żołnierz, chciwie pochwycił twardy chleb, i zjadł w mgnieniu oka.

Z politowaniem patrzał na niego gospodarz i łza spłynęła mu po twarzy. «Boże Abrahama, Izaaka, Jakóba! sprawiedliwy jesteś», rzekł głośno, «i sprawiedliwe są sądy Twoje! Gdy ten młody człowiek z pogardą odrzucił czarny chleb, przyszło mi na myśl, że musi nadejść dzień, kiedy on ucieszy się z tego chleba, i podniosłem go z ziemi. Wtedy,. przyjacielu, szydziłeś z zachowania chleba, a dzisiaj jest przysmakiem dla ciebie. Bóg nie pozwala naigrawać się z siebie i z darów swoich. Pamiętaj o tem młody człowieku! i nie obchodź się nigdy wzgardliwie z darem Bożym».

Zawstydzony temi słowy, ale widząc swoją winę, skruszony Francuz podniósł oczy ku niebu, i prosił Boga i gospodarza o odpuszczenie. Ten go uściskał, posilił lepszem jedzeniem i pokrzepiającym napojem, opatrzył żywnością na kilka dni, i wskazał mu bezpieczną ścieżkę, wolną od ścigających kozaków, którąby w krótkim czasie dostać się mógł do swego pułku, znajdującego się w Wilnie.

Nie pogardzaj nigdy darem Bożym, gdyż odbierze karę harda zuchwałość; pomyśl sobie: «Gdy nie masz białego chleba, dobry będzie dla mnie i czarny». Kto nie szanuje drobnych darów, ten nie jest godnym większych».

Dobre rady dla matek.

Dobre i pożyczne rady znajdują u ludzi rozsądnych zawsze posłuch. Spodziewać się należy, że i w następujących kilku wskazówkach matki szczególnie znajdą niejedne pożyteczną i praktyczną dla pracy swej wychowawczej radę, którą zapamiętać i w życiu zastosować będzie warto. Oto reguły dobrego wychowania dzieci:

1) Przyzwyczaj dzieci od lat najrychlejszych do ścisłego posłuszeństwa.

2) Łącz surowość z serdecznością. Niech wiedzą dzieci twoje, że chcesz widzieć wykonanem, coś powiedziała lub nakazała.

3) Jeśliś nakazała dziecku coś zrobić, pokaż mu, jak polecenie spełnić powinno, a uważaj bacznie, czy polecenie spełni.

4) Karać dzieci, jeśli z rozmysłu nie słuchają twego rozkazu; nie karz przecież w gniewie i wśród wyzwisk.

5) Uważaj na to, ażeby dzieci ciebie nie okłamywały lub oszukiwały.

6) Jeżeli zauważysz, że dziecko rozgoryczone i niechętne, poczekaj, aż się uspokoi; potem dopiero napomnij je po ojcowsku i powiedz, że cię niegrzeczność jego zasmuciła.

7) Zważ, iż jeśli karać wypadnie, mniejsza kara, rzeczywiście wymierzona, większe wrażenie na dziecku wy-

wrze, aniżeli pogróżka surowszej kary na wypadek powtórzenia się wybryku dziecięcego.

8) Nigdy nie dawaj dziecku czegoś dla tego, że w złości i z płaczem o żądaną rzecz woła.

9) Nie pozwalaj nigdy dziecku na coś, co dawniej w równych warunkach byłaś mu zakazała.

10) Przypominaj dziecku często tę prawdę, iż niema na świecie większego szczęścia, niż spełniać sumiennie obowiązki względem Boga, siebie samego i bliźniego.

11) Przyzwyczajaj dziecko do tego, ażeby zadań swych szkolnych, czy katechizmu, uczyło się regularnie.

12) Nie pozwalaj na to nigdy, ażeby dziecko mówiło źle o innych.

13) Módl się za dzieci twoje, bo «my siejemy, zasadzamy rośliny i polewamy je, lecz Pan Bóg daje im rozkwit».

Jak król syamski małżeństwa skleca.

W państwie syamskiem (w Azyi) ciekawy panuje zwyczaj. Każdą kobietę, która osiągnęła już pewien wiek, a nie jest jeszcze zamężną, wpisują na życzenie do wykazu młodych dziewczyn, znajdujących się pod osobliwą opieką władcy, który stara się dla nich o mężów.

Załatwia on się z tem bardzo krótko. Każdy syn Syamu, który cośkolwiek przeskrobie, nietylko że zostaje uwięziony, lecz na dobitkę zmuszony jest wziąć sobie żonę z grona owych kobiet zapisanych na listę królewską. Jeżeli przestępstwo było nieznaczne, to oblubieniec ma prawo wyboru, jeżeli zaś dopuścił się jakiejś zbrodni, brać musi tę, którą mu wyznaczono z najstraszniejszych i najwięcej kłótliwych.

Choćby więc kobieta w Syamie była najstraszniejszą i najzłośliwszą, pomimo wszystkiego może mieć nadzieję, że dostanie męża. Okropniejszej kary dla przestępców nie można było już chyba wymyśleć.

Siedm stopni pijaństwa.

Mamy siedm cudów świata, siedm grzechów głównych, siedm okresów życia ludzkiego — i jeszcze wiele rzeczy, których jest siedm, a do nich przybywa jeszcze siedm stopni pijaństwa, które odkrył pewien lekarz amerykański.

Oskarżoną była kobieta starsza, zamężna, która zaprzeczała — jakoby była pijaną w chwili, kiedy ją policyant aresztował. Wezwany lekarz policyjny dr. Williams jako rzeczoznawca podał, że znalazł oskarżoną w stanie «łagodnego opilstwa», które następuje wkrótce po okresie podrażnienia opilczego.

To określenie ogromnie zainteresowało sędziego, zapytał więc lekarza, czy stan łagodnego opilstwa następuje z reguły po opilczem podrażnieniu?

Naturalnie odrzekł amerykański doktor, który na następne pytania sędziego wymienił sześć stopni pijaństwa następujących po sobie w miarę wciągania w siebie coraz to większych ilości alkoholu Podrażnienie, cicha błogość, rozmach wojowniczy, rozczulenie, skłonność do płaczu i wreszcie śpiączka.

A po śpiączce nie następuje już nic? — zapytał sędzia.

Owszem — odparł uczony — jesze parę kropli alkoholu i śmierć. To jest siódmy i ostatni stopień stanu opilczego.

ROZMAITOŚCI.

Prosimy tych Szan. Czytelników, którzy uiścili w jesieni roku zeszłego prenumeratę na ten rok (do końca września b. r.) — aby nadesłali dopłatę za ten 4-ty kwartał **75** halerzy. — Innych zaś, którzy nadesłali tylko półroczną prenumeratę, aby teraz resztę uiścili, bo nam potrzeba grosza na druk, papier i t. d.

Samobójstwa. Straszne samobójstwo popełnił 40-letni kamieniarz w miejscowości Rechowie (w Czechach). Zamknąwszy się w pokoju gospody miejscowej, wziął do ust nabój i spowodował wybuch. Wybuch rozszarpał mu

głowę na drobne kawałki. Siła wybuchu była tak wielka, że wyrwała okna wraz z ramami, oraz odarła tynk ze ścian. — Przyczyną samobójstwa była wielka nerwowość.

— W miejscowości Laval (we Francyi) pewien młodzieniec, zawiedziony w miłości, wtargnął w zamiarze samobójczym do klatki lwów bawiącej w mieście menażaryi i został tam rozszarpany w okropny sposób przez zwierzęta.

Stracenie kobiety. W mieście Fryburgu (w Saksonii) stracono gilotyną niejaką Gretę Beier, która w podstępny sposób zamordowała swego narzeczonego i sfałszowała jego testament. Na miejscu, z trzech stron otoczonem przez mury gmachu sądowego, stało rusztowanie z gilotyną. Widać było w górze wystający nóż. Okna budynku były szczelnie zasłonięte. Po przybyciu komisyi sądowej przyprowadzono delikwentkę. Ponieważ Greta Beier była nizkiego wzrostu, więc kat podłożył deskę pod koniec gilotyny. Delikwentka ubrana była w czarną suknię, wyciętą na szyi. Była blada, ale spokojna. Prokurator odczytał zawiadomienie, że król nie ułaskawił skazanej. Kat zaprowadził skazaną schodami na szafot. Greta milczała i spokojnie pozwoliła na umocowanie ciała rzemieniami do deski, którą kat wsunął pod ostrze topora. Delikwentka zawołała: „Boże, w ręce Twoje oddaję ducha mego“. Chciała powtórzyć to wołanie, ale zdołała wypowiedzieć tylko słowo: „Boże“ kat pociągnął za sznurek i głuche uderzenie topora odcięło głowę od ciała. Egzekucya trwała trzy minuty.

Poważniejsze pisma niemieckie ganią nieszlachetną ciekawość Niemców, którzy z lubością prawie przypatrywali się tej strasznej egzekucyi.

Śmierć od muchy i osy. Żonę pewnego stolarza z Fürstenwalde pod Berlinem ukąsiła mucha w twarz. Twarz opuchła wkrótce, więc kobieta robiła zimne okłady, chcąc sobie ulżyć. Gdy i to nie pomogło, zawezwała lekarza, lecz było już zapóźno. Operacya była już bez skutku i zmarła.

— Dziwnym sposobem postradała życie pewna kobieta w Bawaryi. Napiła się w lesie wody źródlanej,

przyczem połknęła osę, która tak pokąsała żołądek, że kobieta, choć silna, zmarła krótko potem.

Walka z pijaństwem. Jak na seryo chłopi rosyjscy myślą powstrzymać się od picia gorzałki, świadczy przypadek, który się wydarzył w jednej wsi niedaleko Pskowa. We wsi tej karczmę trzymała kobieta. Z początku sprzedawała tylko wódkę do domów, później jednak zaczęła ją sprzedawać na kieliszki, przyczem grano w karty i różne gry. Włościanie rozgniewali się i pewnego pięknego dnia przyszli całą gromadą do karczmy i wypili cały zapas wódki, nie zapłaciwszy ani kopiejki. A potem zapowiedzieli, że będą tak robili „za każdym razem“.

Zbiorowy obłęd We wsi Bartniki pod Radziwiłłowem (w Królestwie Polskiem) pewna cała rodzina uległa obłędowi. Ojciec, stateczny, podobno i zamożny gospodarz, staruszka matka, i dwie córki. Młodsza 14-letnia córka beczy zupełnie, jak cielę. Od czasu do czasu przestaje beczeć i wtedy zdaje się, że jest zupełnie zdrową, tak, że wie wszystko, co robi i co mówi. Ale to trwa bardzo krótko, gdyż po kilku minutach zaczyna bredzić, że w niej „siedzi dyabeł, którego wypiła z wodą ze studni“.

W podobny sposób objawia się obłęd u starszej 20-letniej siostry. Gdy się ją spyta, zkąd się w studni dyabli wzięli? — odpowie: „Nawrzucał ich sąsiad Łukasiak przez zemstę“ Obiega w nocy po wsi do sąsiadów, awaturuje się, krzyczy: Ratunku! Ratunku! Dyabli nas opętali. Wypędźcie z nas dyabłów!

Krzywoprzysięstwo. W Moguncyi, nad Renem, pewien handlarz wina procesował się z oberżystą, który nie chciał przyjąć przesyłki wina, twierdząc, że więcej mu przysłano niż zamówił. W terminie handlarz przysiągł, że oberżysta istotnie tyle zamówił, ile mu wysłano. Oburzony do głębi oberżysta zawołał do przysięgającego handlarza: W tej chwili popełniłeś krzywoprzysięstwo. — Ledwie te słowa wypowiedział, handlarz padł rażony paraliżem i niebawem zmarł.

Oto okropna przestroga dla tych, którzy zapominają o przykazaniu: nie będziesz mówił fałszywego świadectwa przeciwko bliźniemu twemu.

Śmiałków psy gryzą. Na Węgrzech, w mieście Munkacz, tamtejszy właściciel menażeryi Koczka ogłosił publicznie, że da się ogolić w klatce lwów. Chodziło tylko o golarza, któryby się ośmielił wejść do klatki. Śmiałek taki znalazł się rzeczywiście. Uroczystość golenia miała się odbyć podczas przedstawienia, przy licznie zgromadzonych tłumach ludu. Właściciel i golarz weszli do klatki. W tej chwil jeden z lwów zaczął groźnie mruczeć. Golarz — blady ze strachu — rzucił mydło i brzytwę i począł uciekać. — W tej chwili jednak podrażniony lew zrobił skok i nieprzytomny ze strachu golarz znalazł się w pazurach zwierza. Zanim zdołano go uratować, biedny golarz odniósł straszliwe pokaleczenia.

Różne rady pożyteczne.

Środek przeciw szczurom. Pora zimowa, to najstosowniejszy czas do tępienia wszelkich szkodników, bo to i gospodarz ma więcej czasu wolnego i szkodniki ściągają się wtedy do szpichrzów i stajen, gdzie im ciepło i dostatnio. Niezawodowym środkiem przeciw szczurom jest tak zwana cebula morska, jaką dostanie w każdym większym handlu z artykułami gospodarczymi. Sposób je użycia jest następujący: oto po odarciu z łusek zewnętrznych, siecze się cebulę bardzo drobniutko i mięsza z równą ilością mąki żytniej. Mięszaniną tę polewa się przyrumienionym na ogniu smalcem wieprzowym, poczem znowu mięsza się doskonale. Z tego ciasta robi się drobne kluseczki i zakłada szczurom lecz niezbyt wielką ilość naraz i zawsze świeżo zrobione, gdyż następnego dnia trucizna już nie działa. Po kilku dniach trzeba dawkę powtórzyć, a co już zwykle wystarcza, by się szczurów wyzbyć. Cebula morska jest dla innych zwierząt zupełnie nieszkodliwą.

Przed sadzeniem drzewek owocowych, należy pamiętać o czterech przepisach, bez których znajomości nie może być mowy o należytem posadzeniu drzewka. Przepisy te są następujące:

1) nie wolno sadzić drzewek głębiej aniżeli stały w szkółce;

2) korzenie drzewek przy sadzeniu nie powinny być pozaginane;

3) trzeba tak sadzić, aby między korzeniami była wszędzie ziemia;

4) drzewka świeżo posadzonego nie należy mocno przywiązywać do pala, lecz trzeba przywiązać je tymczasowo lekko.

Tuczenie gęsi. Do tuczenia trzeba gęś umieścić w miejscu ciemnem, spokojnem, dobrze słomą wysłanem, a jako karmy używać owsa, do którego co kilka dni dobrze jest dodawać okruchów z węgla drzewnego, a to dla zapobiezenia wytwarzaniu się kwasów w żoładku. W pierwszym okresie tuczenia można dodawać jesze trochę ugotowanych ziemniaków, które trzeba rozetrzeć i z mlekiem zsiadłem zarobić na papkę. Czystej wody w korytku nigdy braknąć nie powinno. Po trzech tygodniach gęś powinna być już utuczona.

Chcemy u gęsi doprowadzić do wytwozenia wielkiej ilości smalcu, to trzeba przez następne dwa tygodnie napychać gęś kluskami, sporządzonemi z mąki i ziemniaków, zarobionych wodą lub mlekiem, albo napychać ją kukurydzą namoczoną w mleku. Przy takiem żywieniu nie zaszkodzi dodawać nieco soli i od czasu do czau ząbek czosnku. Do dobrego utuczenia potrzeba 20 litrów kukurydzy lub owsa. Utuczona gęś powinna ważyć pięć do ośmu kilogramów.

Wszystkich Szan. Czytelników,

usilnie prosimy o rozszerzanie *Naszej Skarbicy* między znajomymi i zjednywanie dla tego pisma już teraz jak najwięcej prenumeratorów na rok przyszły (1909), bo dotąd jest stosunkowo mała jeszcze liczba prenumeratorów.

Ten drugi rocznik wydawnictwa kończymy niedoborem, to znaczy, że prenumeratą nie dały się pokryć koszta wydawnictwa i pozostaje dług, który będzie mo-

żna spłacić tylko w takim razie — jeżeli się znacznie zwiększy liczba czytelników na rok przyszły. A więc dopomóżcie nam!

FIGLE I ŻARTY.

Rabin i jego żona. W Sadogórze zmarł rabin, zwany cadykiem, do którego tysiącami zjeżdżali się żydzi, wierząc w jego przepowiednie, rzekome proroctwa. Otóż ów rabin, poważany przez wszystkich żydów, miał straszną żonę, która go lekceważyła, a nawet czasami biła. Ale pewnego razu pani rabinowa, będąc w lepszym humorze, przemówiła czule do męża:

— Słuchaj rabbi, ty słyniesz na dalekim świecie jako przepowiadający wszystkim jasno przyszłość, może więc i mnie, żonie twojej, powiesz, co mnie czeka....

— A co ci mam przepowiedzieć? — spytał spokojnie rabbi.

— No, powiedz mi na przykład, kiedy ja umrę?

— Hm... — zadumał się rabbi — ja wiem, wiem....

— Więc powiedz — nalegała żona — powiedz....

— Ty umrzesz w samą wigilię wielkiego święta....

— Nie rozumiem....

— Czemu ty nie rozumiesz? Jak ty umrzesz, to ja na drugi dzień będę miał wielkie święto....

Złapał się. Dziewczyna wiejska prowadzi cielę do domu i śpiewa sobie wesoło.

— Pewno cię kto pocałował, żeś taka wesoła? — rzekł przechodzący panicz.

— A czy to pocałowanie dodaje wesołości? — zapytuje dziewczyna.

— Naturalnie — odpowiada panicz.

— No, to wielmożny pan niech pocałuje moje cielę, bo ono bardzo smutne — odpowiada dziewczyna.

Niedowiarek. Powiadam ci, moja żona tak mnie kocha, że chociaż późno wracam do domy przyjmuje mnie zawsze kwiatami....

— No, tak, ale chyba razem z doniczką.

Wet za wet. Może szanowny pan doktor poradzi co memu pudlowi. Do weterynarza za daleko, a przecież i to lekarz i to lekarz.

— Niech szanowny pan dobrodziej daje mu to samo lekarstwo, które dla pana zapisałem. Toć to chory i to chory.

Dlaczego ziemia jest rodzaju żeńskiego?

— Dla tego, bo taka ładna?

— Głupiś!... Dla tego, bo nikt nie wie dokładnie, ile ma lat.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: **Ks. Marceli Dziurzyński.**

Z drukarni Związkowej w Krakowie, od zarządem A. Szyjewskiego.